

Paweł Lach*
Obzartuch

Tamtej straszliwej nocy, której wspomnienie na zawsze wryło się w moją pamięć, śnieg okrywał bielą dzielnicę ruder, odmieniając jednocześnie jej szerniałe i brudne oblicze. Trzymając w zmarzniętej dłoni lampę, spoglądałem raz po raz na bystrą i zaciętą twarz mojego niedawno poznanego kompana. Obrazy rozkładu i śmierci, które napotykałimy co krok, nie robiły na nim najwyraźniej wrażenia.

Henryk Beatreaux, bo o nim mowa, stawiał zamaszyste kroki, przytrzymując prawą dłonią cylinder. Znajdowałem w jego spojrzeniu niebezpieczną pasję, jakąś obsesję, która instynktownie nakazywała mu podążać do celu. W doskonale skrojonym granatowym płaszczu, w spodniach z kantem wpuszczonych w wysokie buty, z monoklem w prawym oku, z upomadowanym wąsem i spiczastą bródką, prezentował się wciąż nie-nagannie.

W pewnym momencie, gdy sylwety opuszczonych drewnianych domów wyrosły po naszej lewicy, strasząc pustką zabitych okien, drogę przebiegł nam czarny kot. Mój towarzysz zatrzymał się nagle i z uwagą odprowadził spojrzeniem znikające za rogami zwierzę, które w ciemnościach błyskało jeszcze ślepiami. W jedną chwilę twarz pana Beatreaux spochmurniała, a czoło zmarszczyło się.

— Czyżby i pana prześladowała obawa przed pechem? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Nie wierzę w złe omeny — odparł Beatreaux. — Ale zawsze niepokoi mnie widok ludzkiej krwi.

— Krwi? — zdziwiłem się, spoglądając, jak mężczyzna przyklęka.

* P a w e ł L a c h — urodzony w orwellowskim roku 1984. Mieszka i pracuje w Oświęcimiu, gdzie angażuje się w działalność lokalnego Klubu Fantastyki. Współpracuje jako recenzent z portalami muzycznymi („RockMagazyn” i „Kvlt”). Publikował swoje opowiadania w prasie fantastycznej, magazynach sieciowych i antologiach.

— Poświeć mi latarnią, proszę.

Podszedłem bliżej. Jasny snop lampy wyłowił z mroku świeże kocie ślady, które odcisnęły się na sypkim śniegu. Rzeczywiście coś jeszcze czerniło się na białym puchu, a mianowicie odciski ciężkich butów i krwiste plamy. Zawierucha niemal je zatarła.

— To tutaj! — zawołał Beatreaux, ruszając w czerń zaułka. Ja podążyłem za nim, czując ucisk niepokoju. Nie trwało długo, nim w cieniu opuszczonej rudery dostrzegliśmy ludzkie ciało.

— Czy to on? — zapytał. — Czy to pomocnik pani Martins?

— Taaak... Chyba tak — odparłem, przyświecając sobie lampą. — Zdaje się, że to rzeczywiście służący z karczmy.

Wynędzniała twarz zmarłego nieszczęśnika zastygła w grymasie bólu. Ciało leżało w kałuży krwi, powoli niknącej w bieli śniegu. Na obnażonej szyi, zapadłych policzkach i dłoniach ofiary widać było potworne czyraki, które otworzyły się najwyraźniej w nagłym ataku krwotoku, powodując zapewne fizyczne cierpienie, a ostatecznie śmierć.

Nie zdążyłem odezwać się, bo gdzieś w oknie rudery zamigotało mdłe światło.

— Jesteś gotowy? — zapytał Beatreaux.

— Gotowy na co? Przecież trudno uwierzyć w pana przypuszczenia.

— Miej zatem nadzieję, że się pomyliłem, mój młody przyjacielu. Bardzo chciałbym, żeby tak było.

Henryk Beatreaux zachmurzył się bardzo, a potem ruszył w kierunku drzwi prowadzących do drewnianej rudery, skrzypiącej pod naporem mroźnego wiatru .

Powrócę w tym miejscu, szanowny czytelniku, do wydarzeń wcześniejszych, aby w pełni oddać grozę tamtej śnieżnej nocy, której krwawe tajemnice igrały ze zdrowym rozsądkiem. Co ciekawe, jakby w kontraście do grozy nocnej pory, dzień 2 stycznia 184... roku zapowiadał się zgoła niewinnie i zwyczajnie. Niemniej już po południu dałem złapać się na haczyk sekretnej i straszliwej przygody, a wszystko za sprawą anonisu, jaki ujrzałem na pierwszej stronie codziennej gazety, wydawanej w mieście B.

Pozwolę sobie przytoczyć tutaj jego treść:

Poszukiwany – w celu szlachetnego zadośćuczynienia – mężczyzna w wieku sędziwym, chorobliwie wręcz szczupły, który zwykle odziewa się w czerń długiego płaszcza i wysoki szapoklak. Jegomością widywano często, jak wysiada z czarnego powozu. Możliwe, że poszukuje lokum w mieście B. Dla osób, których wskazówki okażą się pomocne w odnalezieniu rzezonego mężczyzny, przewidziano nagrodę pieniężną. Kontaktować się prosimy z Sz. P. Henrykiem Beatreaux, którego znaleźć można wieczorami, pomiędzy ósmą a dziesiątą, w "Przystani Snów".

Być może większość czytelników nie zwróciłaby uwagi na podobne ogłoszenie, ale postać szczupłego mężczyzny obleczonego w czerń przywołała nagle w mej pamięci wspomnienia pewnych niezbyt przyjemnych wypadków sprzed tygodnia, kiedy spotkałem osobę odpowiadającą przytoczonemu opisowi. „Chorobliwie szczupły”, ten szapoklak i czarny powóz. Nie mogło być wątpliwości. W dodatku myśl, że mógłbym mieć pretekst, by przekroczyć próg Przystani Snów, zesłała na mnie dreszcze podniecenia.

Słyszałem o tym miejscu już wcześniej to i owo, a każda z opowieści krążących po B. niosła z sobą posmak intrygującej zagadki. Mówiło się wiele o spotykającej się tam bohemie, nieoszczędzającej grosza na opium i absynt, oddającej się dziwnym rozważaniom o sztuce, nauce i dziedzinach, tajemnych które zwykły rozpalać wyobraźnię ludzi czytanych i wrażliwych zarazem. Krążyły plotki o spirytystycznych seansach i niepospolitych zwyczajach klienteli, przychodzącej tam podobno także dla wymiany tajemnych ksiąg. Jako ubogi student nie pretendowałem zapewne do miana bywalca takich miejsc.

Czytając anons wydrukowany na tytułowej stronie *B. Tribune*, po raz pierwszy też zetknąłem się z nazwiskiem Beatreaux, które nie powiedziało mi wiele o ogłoszeniodawcy, poza wskazaniem jego francuskiego pochodzenia. Ale z treści ogłoszenia i formy jego druku, mogłem jednak całkiem sporo wywnioskować. Po pierwsze ten tajemniczy Beatreaux wydawał się być ekscentrykiem skoro bywał w miejscu takim jak Przystań Snów. Po drugie zaś musiał być zamożny; fundował wszak nagrodę, a anons zamieszczał w poczytnej gazecie przez trzy dni z rzędu (sprawdziłem to później), za co musiał słono płacić. Zwłaszcza, jeśli służyła do tego pierwsza strona.

Dodać muszę, że czas był wtedy niespokojny. Od kilku dni znajdowano w mrocznych zaułkach B. ludzkie ciała, dotknięte jakąś straszliwą formą zarazy, która pokrywała skórę krwistymi czyrakami, by zesłać następnie na nieszczęsnych bolesną i gwałtowną śmierć. Paru ekscentryków głosiło pogląd, że nie mogła to być zwykła choroba, bo nie

pasowała do żadnych znanych nam opisów pandemii. Ofiary nie były wcale liczne, niekoniecznie miały ze sobą kontakt, a śmierć przychodziła gwałtownie. Byli tacy, którzy szukali wyjaśnienia ponadnaturalnego lub dopatrywali się w tych przypadkach widma jakiejś wykoncypowanej zbrodni, za którą stał szaleniec, dysponujący wiedzą o nieznanym chorobotwórczych bakcylach.

Sam nie miałem zdania na ten temat i niewiele się sprawą zajmowałem. Los jednak miał mnie pchnąć w samo serce zgrozy.

Gmach starego domu, który wyrastał pomiędzy dwiema zniszczonymi kamienicami nieopodal portu, przyciągał uwagę przechodniów posępną, kolonialną bryłą, mającą tamtego wieczoru wśród śnieżnej zadymki. Solidnych odrzwi, obitych stalą, z mosiężną kołatką w kształcie głowy byka, pilnował wielki drab, który złowrogo przyglądał się każdemu natrętowi. Z pewnym politowaniem mężczyzna obejrzał mój wytarty kozuch i dziurawy kapelusz – nie pasowałem najwidoczniej do wytwornej klienteli.

— Chyba pomyliłeś drogę, młody człowieku — odezwał się do mnie szorstko i odwrócił wzrok, jakby mój widok był mu nie w smak.

Wiedziałem, że nie mogę wdawać się w dyskusję. Zatem, by wypaść jak najbardziej przekonująco, wyprostowałem się, przybierając poważny – tak mi się przynajmniej zdało – wyraz twarzy i powiedziałem pewnie:

— Jestem tutaj po to, by spotkać się z panem Betreaux. To w związku z ogłoszeniem, które znalazłem w *B. Tribune*. Może mnie pan nie wpuścić, owszem, ale *Monsieur* będzie wielce niezadowolony, zważywszy, że przynoszę istotne dla niego wieści.

Nie wiem, czy wypadłem na tyle pewnie, czy może nazwisko Beatreaux tak działało na ludzi, niemniej gestem dłoni drab nakazał czekać, po czym zniknął za drzwiami. Pojawił się niedługo potem, skinął potakująco głową i zaprosił do środka. Nie zdążyłem przyrzeć się wytwornemu, rozświetlonemu blaskiem gazowych lamp korytarzowi.

Nim znalazłem się w piwnicy – a zejść musiałem po krętych, skrzypiących schodach – dobiegły do mnie wesołe głosy. Wszedłszy do zadymionego od tytoniu i opium pomieszczenia, pełnego rozwieszonych tkanin i ciepłego blasku tkwiących w kandelabrach świec, od razu skupiłem na sobie spojrzenia zebranych. Mętny wzrok mężczyzn i kobiet dał mi do zrozumienia, że goście Przystani Snów błędzili teraz w innym świecie.

W pewnym momencie prowadzący mnie drab wskazał na niewielki stolik. Podszedłem bliżej i skłoniłem się mężczyźnie – jak mniemałem panu Beatreaux.

Był człowiekiem o czujnym spojrzeniu, a w jego czarnych oczach igrał jakiś ognik jasnej myśli. Miał usta wąskie i zacięte, szczękę mocno zarysowaną, ale nie pospolitą. Zakręcony z pomocą pomady wąs i spiczasta bródka dodawała mu zawadiackości, a bokobrody powagi. Nienagannie dopasowany surdut i czerniąca się pod białym kołnierzykiem wielka mucha dopełniały wytwornego wyglądu. Na stoliczku stał przed nim kryształowy kieliszek, w którym znajdowała się chyba kapka niedopitej sherry. W dłoni pan Beatreaux trzymał pięknie zdobioną fajkę.

— John August Smith — przedstawiłem się.

— Henryk Beatreaux — powiedział, wskazując na krzesło obok stolika. — Proszę spocząć. — W jego głosie pobrzmiwał melodyjny, francuski akcent.

— Jak pan już zdążył się dowiedzieć od... — Spojrzałem, czy za moimi plecami stoi drab, ale ten już zdążył zniknąć w oparach zadymionej sali. — Jak się pan zapewne domyśla, jestem tutaj w sprawie ogłoszenia zamieszczonego na pierwszej stronie *B. Tribune*.

— Czy może mi pan powiedzieć coś o wspomnianym w nim człowieku?

— Opis jest dość ogólny...

— Ale bardzo celny, jeśli ktoś poszukiwanego jegomościa rzeczywiście widział.

— Tak — przytaknąłem — Niezwykle celny.

— Czy pan miał z nim jednak do czynienia? Szczerzę wątpię.

— Widziałem go, owszem. — Zamilkłem na chwilę, by dodać z pewnym dramatyzmem: — A co, gdybym powiedział, że mogę wskazać miejsce jego pobytu?

— Doprawdy? — Francuz mruknął, wkładając fajkę do ust. Wyczułem od razu, że mi nie dowierza i ma mnie raczej za kogoś, kto próbuje wyłudzić pieniądze. Nie zraziłem się tym, widać Beatreaux spotykał się już z oszustami, którzy chcieli wyłudzić nagrodę, i nie mogłem go winić za podobny osąd.

— Opowiem zaraz o spotkaniu z poszukiwanym przez pana... dżentelmenem — dodałem po chwili, jakby słowo to nie było do końca właściwe. — Jeśli ma pan oczywiście czas, by mnie wysłuchać.

— Niech pan spróbuje mnie zainteresować — rzekł, wkładając do oka monokl i wsłuchując się z uwagą w moją opowieść.

Nie przynosi być może to chwały, panie Beatreaux, ale tydzień temu, w sobotę, udałem się do pewnej gospody, która mieści się w dzielnicy ruder. Nie wspomnę teraz nazwy tego przybytku ani dokładnej lokalizacji – przyjdzie być może na to czas. Muszę jedynie zaznaczyć, że to dość podłe miejsce, w którym zapewne nie wypada bywać dżentelmenowi. Można tam jednak nabyć tani bimber. Ot, i ma pan wskazówkę, co przyciągnęło do tego przybytku ubogich studentów.

Nie poszedłem tam sam, tylko w towarzystwie kilku osób. Ale tuż przed północą moi przyjaciele postanowili zmienić oberżę. Nie chciałem jednak iść z nimi, wolałem dopić tylko to, co zostało mi w kieliszku. Zbyt doskwierała mi tamtej nocy migrena. Z tego też powodu pragnąłem położyć się wcześniej.

Pożegnałem się zatem z kompanami ruszającymi na podbój nocy. Gdy roześmiane towarzystwo wyszło, zostałem sam, nie licząc pewnej damy, która prowadziła gospodę, i jej pomocnika. Z tego co wiem, kobieta ta odziedziczyła karczmę po zmarłym mężu, ale to nieważne dla opowieści. Co dziwne, w pewnym momencie zażywna i korpulentna oberżystka zaczęła rozmawiać z chłopakiem na posyłki, jakby nikogo już w środku nie było. Siedziałem w kącie izby, gdzie blade światło świec nie docierało, więc kobieta musiała wziąć za pewnik, że i ja opuściłem oberżę wraz z moimi kompanami, o których zresztą nie wyrażała się wcale grzecznie. „To nicponie i hultaje. Nic tylko przepuszczają majątek swych ojców na uciechy. Nic dobrego z nich nie będzie”, powiedziała w kierunku chłopaka i machnęła ręką

Myślałem, żeby może chrząknąć albo szurnać nogą, ujawniając tym samym swą obecność, ale postanowiłem siedzieć w ukryciu, choćby i dla hecy. Ten stan trwał może kwadrans, w czasie którego zdążyłem opróżnić kieliszek do dna. W pewnym momencie usłyszałem stukot powozu i głośnie rżenie koni.

Siedziałem blisko okna i, jako że w tej części izby rozgościła się ciemność, mogłem dostrzec kontur wielkiego, czarnego powozu, który przemknął po pobliskim moście. Cóż to był za widok! Może mi pan nie wierzyć, ale widziałem cztery kare rumaki o oczach płonących czerwienią. Nie to jednak było najdziwniejsze. Nie dostrzegłem woźnicy, nawet wtedy, gdy powóz zatrzymał się tuż przy gospodzie. Ale pewnym być nie mogę, czy to aby wzrok nie płatał mi figli. Nie wypilem co prawda wiele, niemniej ból głowy mógł mącić trochę moje zmysły.

W pewnym momencie drzwiczki powozu rozwarły się i kątem oka dostrzegłem, jak zaśnieżoną uliczką przemyka cień. Tak, cień – coś czerniło się niewyraźnie w mroku na zewnątrz. Wydało mi się to wielce osobliwe. Nie zdążyłem nawet doliczyć do pięciu, a ktoś zapukał do drzwi gospody. Te po chwili rozwarły się z hukiem, wpuszczając do wnętrza chłodne powietrze i sypki śnieg.

W drzwiach stanął... No właśnie. Trudno go opisać, bo jego wygląd miał w sobie ten ulotny pierwiastek groteskowości, który przesadnie odmalowany, jawi się jako bujda, pominięty zaś, odbiera historii całą dramaturgię i grozę. Niemniej spróbuję, panie Beatreaux, choćby miał mnie pan uznać za szaleńca.

Musiał to być mężczyzna już sędziwy; długie, siwe włosy spływały mu na ramiona, a twarz wydawała się ściągnięta przez zmarszczki. Ostra kość sterczała z brody, czyniąc jego rysy jeszcze bardziej nieprzyjemnymi. Gładko wygolone policzki zapadały się niezdrowo, niemal ukazując zarys zębów, a poźółkłe gałki oczne łypały jakoś złowieszczo spod ronda szapokłaka. Nieznajomy był dość wysoki, ale tak chudy, jakby rozstawał się właśnie z życiem. Spod połów płaszcz wystawały dłonie, wiotkie, z długimi palcami, które powlekała cienka skóra, lekko zsiniała, ale wcale nie od mrozu. Strój jegomościa był nieco staroświecki i cały w czerni, zaczynając od jedwabnych pończoch, poprzez płaszcz, surdut i koszulę, kończąc na otaczającej rondo szapokłaka tasiemce; tylko sprzączki u trzewików były złote, zwracając uwagę swym blaskiem.

Jednak nie kolor stroju nadawał całości wyrazu żałoby, a fakt, że wszystko wisiało na wychudzonym mężczyźnie jak na strachu na wróble. On sam przypominał śmierć, przynajmniej taką, jaką można było sobie wyobrazić, słuchając klechd starych bab albo spoglądając na niektóre stare kościelne malowidła.

Gospodyni przeżegnała się na ten widok. Jej pomocnik otworzył szeroko usta.

— Dobry wieczór — odezwał się gość, a głos ten wydał mi się bardzo skrzekliwy i nieprzyjemny. — Czy można? Chciałbym zasięgnąć porady.

— Ależ... ja... — Kobieta zająknęła się, ale szybko opanowała nerwy, dochodząc najwyraźniej do wniosku, że gość to zawsze gość, bez względu na to, jak wygląda. — Tak, proszę. Oczywiście. Niechże pan zasiądzie przy stole. — Strzeliła palcami, a chłopak uprzętnął jeden ze stołów, ze strachem patrząc na jegomościa. — Czy jest pan... głodny? — zapytała nieznajomego, a jej pytanie wydawało się dziwnie niestosowne.

— Straszliwie! — odpowiedział, uśmiechając się tajemniczo. — Proszę się jednak nie trudzić z wieczerzą.

— W czym zatem mogę panu służyć?

— Szukam lokum — powiedział, wzdychając głośno. — Lokum w miejscu odludnym. W takim, w którym nikt by mi nie przeszkadzał.

— Może zaoferuję panu po prostu jeden z pokoi w gospodzie?

— Och, nie! — zaprotestował. — Karczma to miejsce, w którym ciągły ruch uniemożliwiłby mi odpoczynek. Widzi pani, potrzebuję spokoju i ciszy. Cierpię na bezsenność. Nocą włączę się wśród zaułków, a za dnia muszę uciąć sobie drzemkę. Drzemkę, w której nikt nie może mi przeszkadzać. Powiem wprost. Przejeżdżałem powozem i widziałem pewne zaciszne miejsce, w sam raz dla mnie. Dopytałem tu i ówdzie i wskazano mi panią, jako właścicielkę... Pani wybaczy to określenie: rudery.

— Zapewne mówi pan o domu, który należał do mych biednych rodziców. Ale brak tam wygod i...

— Nic nie szkodzi — odparł jegomość, uśmiechając się jakoś niezdarnie, co dodało mu jeszcze złowieszczości. — Potrzebuję jedynie spokoju. Zapłacę złotem. I to z góry! Trzy monety, dobrze? I dorzucę jeszcze trzy kolejne, jeśli rzeczywiście przez ten czas nikt nie wejdzie mi w paradę. Czy się rozumiemy, droga pani? Zapłacę sporo, ale żądam bezwzględnego spokoju i pragnę, by nikt mnie niepokoił, inaczej...

W pewnym momencie musiałem przerwać swoją opowieść, snutą wśród dymów i dziwnych głosów władających Przystanią Snów, bo pan Beatreaux – którego twarz w trakcie jej trwania nabierała rumieńców – zerwał się w końcu z miejsca i złapał mnie gwałtownie za ramiona. Poczułem, że ma niepospolitą krzepę.

— Czy wie pan dokładnie, gdzie to miejsce się znajduje? Czy wie pan, gdzie ten... Gdzie on się udał?!

— Nie wiem — odparłem niepewnie, widząc, że przyciągamy wzrok zebranych w piwnicy. — Nie śledziłem jegomościa w czarnym płaszczu. Do wynajętego lokum zaprowadził go pomocnik gospodyni.

— Prowadź mnie zatem do karczmarki!

— A nagroda? Poza tym nie wiem, jakie intencje panem kierują.

— Chcę zapobiec większej jeszcze zbrodni! — zawołał patetycznie. — Chłopcze, dotrę do tej karczmy sam, ale może być już wtedy za późno.

— Skąd pan może wiedzieć, która to karczma?

— Sprytnie nie chciałeś wyjawic jej nazwy, ani imienia właścicielki, ale zdradziłeś się, mój panie, interesującymi szczegółami. Jak wiele wyliczysz bowiem karczm, stojących niedaleko mostu? Ile z tych mostów przecina rzekę w biednej dzielnicy? Ile spośród tamtejszych gospód prowadzonych jest przez wdowy? Wystarczy tylko zasięgnąć języka, by znaleźć tę jedyną z opowieści, a szkoda mi na to czasu, bo ten nagli...

— Nie może mieć pan pewności, że celowo nie zmyliłem tropów.

— Jeśli tak by się stało, to, proszę, nie igraj z moim gniewem. Tutaj liczy się każda minuta. Wyjaśnię ci wszystko w drodze.

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, schwycił mnie za ramię i wyprowadził z Przystani Snów.

Wynajęty powóz powiózł nas poprzez mrok i śnieżną zadymkę, aż w końcu znaleźliśmy się tuż naprzeciwko gospody, która nosiła dumną nazwę: "Zajazd Królewski", co oczywiście należało odczytać poczytywać jako pobożne życzenie. Pan Beatreaux nie czekał nawet na mnie, tylko pchnął z impetem odrzwia prowadzące do karczemnej izby. Wszedłem zaraz po nim, by ujrzeć złowrogie spojrzenie pani Martins, właścicielki tego przybytku, która wspierając swoje dłonie na szerokiej talii, taksowała nowo przybyłych od stóp do głów.

— Spokojnie, drogi panie! — zawołała. — To szanowana gospoda i nie potrzebujemy tu awantur.

Pan Beatreaux dopadł do kobiety, schwycił ją za ramię i odciągnął w kąt, co zresztą nie zaciekawilo żadnego z zebranych, choć wewnątrz siedziała grupka trzech raczących się winem mężczyzn.

— Szukam kogoś! — rzucił pan Beatreaux. — Szukam od dawna!

— Tak? To chyba pomylił pan przybytki.

— Jegomość odziany w czerń od stóp do głów, niezwykle szczupły. Wiem dobrze, że zjawił się tu w nocy z soboty na niedzielę i za sowitą opłatą znalazł u pani lokum.

— Hola, hola! — zawołała pani Martins. — Co też pan opowiada? Jaki jegomość w czerni? — W tym momencie spojrzała na mnie, a ja, choć okryłem twarz połami kożucha, zaraz zostałem przez nią rozpoznany. — Ach, to tak — powiedziała, grożąc mi palcem.

— Czy to nie ty, gagatku, skryłeś się tamtej nocy w ciemnościach jak złodziej czy inny rzezimieszek i podsłuchiwałeś? Bo podsłuchiwałeś, prawda? A zarzekał się, że przysnął tylko w kącie i nic nie słyszał!

— Nieważne, czy ten młodzieniec podsłuchiwał wasze rozmowy, czy nie — odparł ostro pan Beatreaux. — Musi pani wiedzieć, że człowiek, który zaszył się w pani dawnym domu, to osobnik niezwykle niebezpieczny, który splamił się rozlicznymi zbrodniami, a jeśli wskaże nam pani drogę do niego, to zachowa się jak uczciwa chrześcijanka.

— Uczciwa chrześcijanka! — karczmarka prychnęła. — Dobrze sobie! Uczciwa chrześcijanka! No, proszę...

— Zapłacił wiele za pokój, który mieści się gdzieś w dzielnicy ruder, prawda? Jeśli wskaże pani drogę, to zapłacę więcej, niż on. Dużo więcej...

Pani Martins, która była osobą nad wyraz przedsiębiorczą – w końcu kilkanaście lat samotnie i z powodzeniem prowadziła trudny i niewdzięczny interes – zastanowiła się głęboko nad tymi słowami. Beatreaux miał dar przekonywania. Pieniądze zaś kusiły, a przecież nie trzeba było być wielkim znawcą, by domyślić się, że człowiek ten rozporządza fortuną. Wystarczyło spojrzeć na złoty sygnet na jego palcu i takiż łańcuszek od zegarka.

— No dobrze — odparła. — Powiem wam, gdzie się zaszył. Ale będzie to, mój drogi panie, trochę kosztować. No i musisz wiedzieć, że odnalezienie tego, kogo szukasz, może grozić śmiercią. Straszliwą śmiercią... Zaraza zagościła w okolicy, gdzie się ukrył przed światem.

Powóz zabrał nas do wrót dzielnicy biedoty. Woźnica nie chciał jednak jechać dalej. Właściwie nie mógł. Miejsce, do którego dotarliśmy obłożone zostało kwarantanną. Wyszliśmy zatem, a przed nami, w śnieżnej zadymce, majaczyły czarne sylwetki drewnianych domów i zrujnowanych czynszowych kamienic.

— Nie pójdę dalej — powiedziałem, owiany chłodnym powiewem. — Nie jestem szaleńcem.

— Nie zmuszam pana — rzekł Beatreaux. — Może pan odejść. Zapłacę oczywiście za pomoc.

— A jednak chciałbym wiedzieć, czy nie pomogłem panu w czymś, co nie przysparza honoru dżentelmenowi.

— Naprawdę chce pan wiedzieć? — uśmiechnął się. — Nie mam czasu na opowieści, no chyba, że w trakcie marszu, który mnie... nas jeszcze czeka. Pana wybór.

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale ruszyłem za Henrykiem Beatreux, poddając się mesmerycznej wręcz sile oddziaływania tego człowieka. Ciekawość okazała się silniejsza niż strach.

Opowieść Henryka Beatreaux

Wierzyłem jeszcze niedawno, mój drogi przyjacielu w siłę ludzkiego umysłu. Sądziłem, że wszystko da się wyjaśnić z jego pomocą, a świat jest miejscem wolnym od duchów, zjaw, postaci wyciągniętych wprost z kart makabrycznych baśni. Cóż, dalej być może ufam, że logika rządzi naszą rzeczywistością, ale wiem także o istnieniu spraw, które jej z pozoru przeczą.

Swego czasu znalazłem się w pewnym niedużym miasteczku w stanie Massachusetts, gdzie sprowadziły mnie sprawy zawodowe. Wiedz, że prowadzę w Nowym Jorku znany bibliofilom antykwariat i zajmuję się handlem starymi manuskryptami, pismami i mapami. Mój przyjaciel z miasta R., który nosi nazwisko Richardson, napisał do mnie, że ma mi coś ciekawego do pokazania, co na pewno z zyskiem uda mi się sprzedać. Nie mylił się. Goszcząc u niego, wybrałem kilka interesujących mnie starodruków, w tym jeden, pochodzący z końca średniowiecza i opatrzony tytułem: *O Czerwonym Morze. Traktat o tajemnej chorobie krwi, ręką Dietmara z Kassel spisany*. Przejrzałem wtedy ten manuskrypt pospiesznie. Bogaty był w ryciny i straszliwe opisy zarazy. Wiedziałem dobrze, że księga znajdzie nabywców, którzy za podobne średniowieczne dziwactwa słono zapłacą.

W noc przed moim wyjazdem z R. stało się coś dziwnego, co z początku jednak nie wzbudziło mych podejrzeń. Zdarzało mi się wtedy, i zdarza wciąż, spacerować po zmroku, kiedy umysł może doznać innych całkiem wrażeń. Przed porannym wyjazdem udałem się na nocną przechadzkę. Panowała wtedy mroźna zima, jak i teraz. Gdy przystanąłem na moment w bramie jednej z kamieniczek, zobaczyłem czyjąś postać. Jegomość, który prze-mykał szybko ulicą, spostrzegł mnie również, bo zatrzymał się i podszedł bliżej.

Nie muszę go chyba opisywać, bo zrobił to pan nad wyraz trafnie, gdy wspominał o spotkaniu w karczmie. Tak, jestem pewien, że był to ten sam osobnik! Wywołał u mnie równie nieprzyjemne wrażenie, ale jako że stałem bliżej, niż pan, muszę dodać coś jeszcze do opisu. Czułem od niego kwaśną woń rozkładu.

— Szukam schronienia... — powiedział, sycząc. — Jakiegoś spokojnego lokum, bo chciałyby się zatrzymać tu na jakiś czas.

— Nie wiem, jak miałbym panu pomóc — odparłem. — Jestem nietutejszy.

— Jak pana godność?

— Beatreaux. Henryk Beatreux — odparłem. — A czy pan mi się przedstawi?

Odniosłem wrażenie, że zastanawia się. Potem uśmiechnął się, wyszczerzając swoje zęby i odparł: — *Seuche*. Tak, tak właśnie. Zdaje mi się, że tak mnie nazywano...

— *Seuche*... — powtórzyłem. Było to niemieckie słowo, które gdzieś już słyszałem, ale znaczenia nie mogłem wtedy sobie przypomnieć. — Niech pan zajrzy kiedyś do Mr. Richardsona — poradziłem. — To mój przyjaciel. Mieszka tu od urodzenia i zna R. jak własną kieszeń. Na pewno pomoże panu odnaleźć właściwe lokum.

— Richardson... Richardson... — powtórzył, śmiejąc się jakoś nieprzyjemnie. — Zapamiętam to sobie. Na pewno go odwiedzę. Dziękuję za radę.

Skłonił się jakoś teatralnie, zdjął swój szapoklak, ukazując na wpół łysą czaszkę i zniknął w mroku.

Cóż, nie przejąłem się tym wszystkim bardzo i następnego dnia wyjechałem z miasta R., serdecznie żegnając się z moim przyjacielem i uprzedzając go jedynie, że może mieć osobliwego gościa.

Nie minął tydzień, a doszły do mnie straszliwe wiadomości o dziwnej chorobie, która rozpanoszyła się w R. Richardson napisał długi list opisujący jej objawy. Osobliwe objawy – dodać muszę. Bo choć skórne czyraki u ofiar przypominają mogły jeszcze dżumę, to przecież żadna z epidemii nie rozprzestrzeniła się w ten sposób.

Gdybym nie był człowiekiem o racjonalnych przekonaniach – pisał mój przyjaciel – przypuszczałbym, że stoi za tym jakaś siła, na wpół demoniczna, na wpół ludzka, jakby dobierająca ofiary według klucza. Czy wiesz, że zdarza się, iż jednej nocy zakażeni mogą mieć ze sobą coś wspólnego – na przykład grali przy jednym stoliku w szulerni. Albo mieli przyjemność iść tą samą ulicą, gdzie ich ciała odnaleziono. Nikt jednak poza nimi, choć stykali się z niejedną osobą, nie zaraził się. A gdy pytać tych, którzy widzieli felernej nocy ofiary

choroby, niektórzy mówią coś o tajemniczym mężczyźnie w czerni, który im towarzyszył. Jego opis się jednak różni, bo jedni chcą widzieć w nim śmierć na chorągwi, inni całkiem korpulentnego osobnika. Przypominało to szalone opowieści pana Poe, w których się zaczytywałem. To może szalony pomysł, ale zdaje mi się, mój drogi przyjacielu, że nasza zaraza ma cielesną postać i drwi sobie z nas...

I wtedy właśnie przypomniało mi się spotkanie z jegomościem w czerni i stara księga, którą przywiozłem ze sobą. Kiedy wieczorem, siedząc w moim gabinecie, rozwarłem strony manuskryptu ponownie, na pergaminie spostrzegłem ryciny przedstawiające ludzi cierpiących na chorobę krwistych czyraków. Zaraza zwykle trwała przez kilka dni... Zaraza! Wpadłem i na to, że po niemiecku zaraza to *Der Seuche*! Czy nie tak przedstawił mi się nasz chudzielec? Ponadto na jednej z rycin autor biegły w sztuce iluminacji przedstawił jego oblicze. Może była to jedynie ślepa wiara mego umysłu i autosugestia, ale dostrzegłem w tym groteskowym portrecie twarz i sylwetkę napotkanej istoty. Istoty, która na kolejnych stronicach rosła – i to dosłownie!

Pojechałem do R. czym prędzej, by dowiedzieć się więcej. Podczas podróży nie mogłem pozbyć się niespokojnych myśli, bo żaden list od mego przyjaciela już nie przyszedł, a na wysłane telegramy nie doczekałem się odpowiedzi. Stało się to, co podejrzewałem. Zginął i on, strawiony bólem i cierpieniem. Richardson spoczął w masowym grobie.

Zasięgnąłem informacji, szukałem, pytałem, tropiłem wszelkie ślady. Naniósłem nawet na mapę miejsca, gdzie znajdowano ciała ofiar. Zdarzało się, że jednego dnia musieli spotkać się w jakimś lokum lub, w szynku lub w czyimś salonie. Czy w drodze powrotnej napotykali tajemniczego przechodnia? Znalazłem świadków, którzy widzieli nocą przemykający zaułkami złowrogi cień. I postać w czerni! Jego także. Z każdym dniem coraz lepiej odżywionego, panie Smith.

Tropiłem go przez lata, ale tam, gdzie się zjawia, nigdy nie zagrzewa miejsca długo. Kilka straszliwych dni wystarcza mu, by najeść się do syta ludzkim cierpieniem. Pojawia się każdej zimy i nigdy nie wiadomo, gdzie mu wypadnie wizyta. Zanim dotrę na miejsce, gdy pierwsze wieści zaczynają do mnie trafiać – a mam wielu przyjaciół, którzy wiedzą, że czekam na każdą wiadomość o pierwszych objawach zarazy – pozostaje mi niewiele czasu, by spróbować go wytropić. A Czerwony Mór potrafi się ukrywać, robi to od stuleci.

Czasem jednak popełni błąd, chociażby wtedy, gdy nie zauważy w zakamarkach karczmy podsłuchującego go studenta.

Pan Beatreaux skończył swą opowieść tuż przed tym, jak znaleźliśmy krwawe ślady pozostawione przez czarnego kota, który przebiegł nam drogę. Chwilę potem staliśmy przy drzwiach prowadzących do rudery należącej do pani Martins, mając za jedyne towarzysza tego samego kocura oraz zmarłego niedawno w męczarniach pomocnika oberżystki. Byliśmy nieco zdyszani nocną gonitwą i pełni wątpliwości.

— Czy jesteś gotowy? — zapytał Beatreaux.

— Nie chce mi się wierzyć w to, co usłyszałem od pana — odparłem, ocierając z czoła pot.

— Jakże ja chciałbym, mój młody przyjacielu, nie uwierzyć w to nigdy!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W gardle mi zaschło, a przez ciało przebiegł dreszcz. Ale za daleko zabrnąłem tej nocy, by teraz zrezygnować. Wspólnie zaczęliśmy wyważać drzwi, które w końcu zostały wyrwane z zawiasów i gruchnęły z hukiem.

Gdy weszliśmy do środka starej rudery, lampa omal nie wypadła mi z dłoni. Na drewnianej podłodze leżały podarte ubrania, a na ustawionym pośrodku pokoju łóżku znajdowało się czyjeś ciało. Boże, ciało! Cielsko, niemal groteskowych rozmiarów, pokryte wielkimi wałami tłuszczu, z ogromnym brzuchem, który trząsał się w jakichś konwulsjach.

Istota, kimkolwiek była – a nie śmiałybym nazywać jej ludzką – odwróciła swe oblicze w naszym kierunku. Ukazała się nam otłuszczona twarz, z oczami płonącymi czerwienią i szaleństwem.

— Dobry wieczór — odezwał się z trudem, a kiedy poruszył się nieznacznie i z wielkim móżdżem, łóżko zaskrzypiało. — Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? Doskonale zapamiętuję twarze... Oooch — zajęczał, łapiąc się za brzuch. — Przesadziłem tej nocy. Wszystko... Wszystko przez tego chłopaka, wysłanego przez panią Martins... Musiałem pożreć i jego. Nie mógł mnie zobaczyć w takim stanie, nieprawdaż? Ale to koniec. Przynajmniej na razie. Ale jeśli będziecie próbować... Ojej... Tak ciężko mi mówić! Brzuch mi wydyma... Czuję jednak, że jeśli bardzo się postaram, to dam radę jeszcze coś przekąsić... Oj tak...

— Czy... Czy to on? — wyszeptalem, odwracając głowę ze wstrętem. — Czy to mężczyzna, którego widziałem w gospodzie? Ale jak...

— Niewątpliwie — odparł Henryk Beatreaux. — Obrastał ciałem, gdy choroba wysysała siły z żywych. To nasz Czerwony Mór — szepnął, jakby do siebie, a w jego głosie wyczuwałem ulgę.

I wtedy rozległ się śmiech. Potworny, piskliwy, niby ludzki, a przecież tak odległy od śmiechu, który mógłby dobyć się z gardła jakiegokolwiek człowieka. Wielkie brzuszsko trzęsło się w konwulsjach.

Pan Beatreaux wyrwał z mej dłoni lampę, a potem cisnął ją z impetem o podłogę. Płomień buchnął gwałtownie. Olej z lampy rozlał się, podsycając ogień, który szybko zaczął obejmować drewnianą podłogę, ściany i łóżko.

— Już czas na nas — powiedział Beatreaux, ciągnąc mnie za ramię.

— Czy on...

— Spłonie. Nie wiem, czy to go powstrzyma, jeśli o to pytasz. Nie sądzę.

Wybiegliśmy z domu, patrząc, jak ogień pochłania starą ruderę. Na szczęście budynek stał na tyle daleko od innych, że płomień nie mógł się rozprzestrzenić, tym bardziej, że wiatr zamarł. Wciąż jednak dobiegał do nas nierzeczywisty, upiorny chichot.

— Czy to koniec? — odezwałem się, wciągając do płuc chłodne powietrze. — Panie Beatreaux?

Nie powiedział nic, a na jego twarzy malowała się pewność. A jednak nie był szalony. Przez te lata nie gonił za ułudą.

To musiało mu wystarczyć. Mnie także.

Gdy opuszczaliśmy bez słowa dzielnicę ruder, zaczęło powoli świtać. Gdzieś daleko widać było, że po kamiennym moście mknie czarny powóz, który najwyraźniej opuszcza miasto B., zostawiając za sobą krwawe żniwo zbrodni. Tydzień potem pisano wiele o końcu tajemniczej epidemii, a nikt – co za szczęście! – nie mógł nawet podejrzewać, co za nią stało.

Jeśli zaś jakiś cień położył się na moim życiu za sprawą znajomości z panem Beatreaux, to muszę wyznać, że zawsze z lękiem spoglądałam na sylwetki szczupłych mężczyzn odzianych w czerń. Od żadnego z napotkanych nie poczułem już jednak słodkiej i przerażającej woni rozkładu, co napawa mnie nadzieją, że czas zgrozy się skończył.

Odkąd jednak przekonałem się, że są na świecie rzeczy przeczące rozumowi, częściej zdarzają mi się bezsenne noce oraz z większym zapałem sięgam po opium.